



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Longin Glijer

Stepy Kazachstanu

Karasin to niewielka wioska koło Maniewicz, na drodze od Kowla w kierunku Sarn. Tu spędzaliśmy wakacje. Tata od kilku lat był komendantem posterunku policji w Karasinie i tylko raz w tygodniu przyjeżdżał do domu. Z dwoma braćmi – starszym ode mnie o sześć lat Ryśkiem, starszym o cztery lata Jasiem i mamą mieszkaliśmy na stałe w Kowlu, we własnym domu otoczonym pięknymi drzewami owocowymi, sadzonymi przez umiłowanego dziadka Jasia, który z kochaną babcią Zosią mieszkał obok nas.

Wakacje w Karasinie były cudowne. Był to czas zupełnie inny niż w Kowlu i to nie dlatego, że bez szkoły. W kowelskim domu był rygor. Było nas trzech chłopaków pod opieką w zasadzie tylko mamy. Musiała trzymać nas w jakichś ryzach. Na wszystko był wyznaczony czas, a grono kolegów musiało być zaakceptowane przez mamę. Tu, w Karasinie pod opieką obojga rodziców wolno było robić wszystko i korzystaliśmy z tej wolności w pełni.

W Karasinie przeżyłem jedno z pierwszych silnych uczuć litości i współczucia dla rodzin chłopskich odprowadzających ojców i braci do wojska. Były to ostanie dni sierpnia 1939 roku. Szykowaliśmy się do powrotu do Kowla. Pierwszego września początek roku szkolnego, a tu wiadomość o wojnie. Pierwsza myśl to – „brawo, nie wracamy”. Telefony, dalsza mobilizacja, samoloty na niebie, dziwne rozmowy taty z mamą. Niewiele rozumiałem – przebywając z żeńcami, pastuchami, młockarzami, byłem oderwany od rzeczywistości. Nie bardzo wiedziałem co to jest wojna. Wszyscy byli smutni i zatroskani. Lament u sąsiadów po otrzymanym telegramie – mąż zabity. Wpada chłop nad ranem: „Panie szanowny, złapaliśmy za jeziorem Trosno Niemców, spadli z samolotem”. Jedzie tata i wraca z tymi Niemcami, ale jakoś dziwnie przyjaźnie do nich się odnosi. Okazało się, że to Słowacy, lotnicy z Brna, którzy uciekli od Niemców z Czechosłowacji do Dębłina, żeby walczyć z naszym wspólnym wrogiem, ale kiedy lotnisko zostało zbombardowane, wsiedli do dwupłatowca i ruszyli w kierunku Rosji. W okolicach Karasina w nocy zabrakło im paliwa i musieli lądować. Ojciec zdobył gdzieś benzynę, zatankowali i odlecieli na wschód.

Z 16 na 17 września mama zrywa nas ze snu. Słyszę jej płacz, rozkazy ojca. Deszcz, zimno i ładowanie na podwodę, a potem pożegnanie. Ojciec z Ryśkiem i policjantami jadą do Kowla na zgrupowanie („co to jest zgrupowanie?”), a Jasio, mama i ja tą podwodą jedziemy przez puszcę. Mama prawie cały czas płacze. Po jakimś czasie pukamy do jakiejś chaty stojącej na polanie. Ktoś niechętnie otwiera. Dostajemy jakieś gorące picie i miód z plastra. Spanie gdzieś w kącie. Strach, chlupanie pod nosem, żeby mama nie słyszała, tylko Jasio pociesza. Co z nami będzie? Rano okazało się, że to gajówka w borach koło willi prezydenta Mościckiego. W tej willi znaleźliśmy z Jasiem naboje do flowera.

Kładliśmy je na kamieniu pod dębem i z konarów tego wielkiego drzewa rzucaliśmy duże kamienie na naboje. Dostało się nam od gajowego. „Pani to mało tej wojny, że jeszcze ci smarkacze strzelają, a band Ukraińców pełno”. I rzeczywiście, któregoś dnia przyjechali na koniach z dubeltówkami w rękach i pasami z nabojami do karabinów. Jasio to odkrył. Przyjechali nas zamordować, ale ich herszt dziwnie ulitował się nad nami, tylko mamie wygrażając kazał stąd uciekać. Okazało się, że latem mama udzieliła mu pierwszej pomocy w lesie, kiedy skaleczył się poważnie siekierą. Mama, siostra miłosierdzia polskiego wojska odstepującego z Kijowa w 1920 roku, zawsze miała przy sobie opatrunki i lekarstwa do pierwszej pomocy i z tego w Karasinie była znana. Ten herszt ją rozpoznał i dlatego darował nam życie.

Pod koniec września wróciliśmy do Karasina, a tu nowe przeżycie. Orałem z kolegą Jurkiem Piotrowskim, aż tu nagle nalot na wieś Górki, oddalonej o około 5 kilometrów. Naliczyliśmy 27 sowieckich kukuruźników. Jeden samolot nadleciał nad Karasin i puścił do nas, chłopaków z koniem, serię z karabinu maszynowego. To był pierwszy kontakt z sowietami. Wieczorem nadeszła wiadomość, że we wsi Górki zatrzymało się polskie wojsko i ono było celem nalotu. Już po wojnie dowiedziałem się, że były to oddziały generała Kleeberga. Wojsko to następnego dnia miało maszerować przez Karasin, więc dla bezpieczeństwa ludność została wysiedlona. Kilka dni spędziliśmy w bagnach pod Karasinem, a potem wjechali sowietci na ciężarówkach. Zaczynałem rozumieć, co to wojna.

Trzeba było uciekać z Karasina i przed bandami ukraińskimi i przed sowietami. Zamordowali popa, powiesili księdza, wymordowali rodzinę dziedziców. Wąskotorówką ciągniętą przez konia jedziemy między workami z kartoflami do Maniewicz. Po kilku dniach oczekiwania na stacji dostajemy się pociągiem do Kowła. Jest Rysiek. Tata umknął sowietom i poszedł za Bug w Góry Świętokrzyskie do swojej rodziny. Wszyscy w rodzinie żyją. Mama uświadamia nam sytuację. W domu naszym stacjonują żołnierze sowieccy. Środków do życia brak, na ulicy sowietci polują na oficerów i żołnierzy polskich. Wywozzący się z biedoty Żydzi, z czerwonymi opaskami na rękawach, z karabinami w rękach, pomagają usłudze okupantom.

Zaczyna się nachodzenie przez „panów” w cywilu. Przeprowadzają wywiady: „gdzie mąż, kim był, co robi, niech się zgłosi do NKWD”. Zauważyliśmy, że pod paltem mają mundury z prostokątami na kołnierzu. To enkawudziści. Po jakimś czasie znowu przychodzą inni, ale pytania te same. Nienawidzę sowietów. W szkole obowiązuje 5-dniowy tydzień nauki. W niedzielę każą przychodzić do szkoły. Nie idziemy. Dostaję za to od kierownika w twarz. Nie chcemy się uczyć. U Jasia w szkole uczniowie ogłosili konkurs na niedostateczne oceny. Rysiek gra w teatrzyku gimnazjalnym (aresztują za to jego nauczyciela).

Najgorsze te nocne kolejki po chleb, mąkę. Ryśka i Jasia z innymi kolejkowiczami sowietci zimą oblali wodą i wywieźli kilka kilometrów za miasto. Kiedyś stałem w kolejce po coś i kupiłem cukierki malinowe, mydło oraz kiepskie ruskie zapalki. Te cukierki to rarytas, bo mleczna kawa słodzona była sacharyną. Zastanawiałem się skąd mama bierze żywność? Jak to załatwia? Czasami przychodzili do nas chłopci, a następnego dnia był obfity obiad. To oni dostarczali mąkę, kartofle, czasami słoninę za otrzymane różne przedmioty.

Okropny strach mnie ogarnął w czasie opowiadania Żyda, doktora Dawidsona, uciekiniera z Puław, który u nas zamieszkał ze swoimi kolegami Żydami – ponurym Kornenszteinem (doktor z Dębina) i uroczym Monikowem (właściciel browaru w Puławach). Doktor Dawidson, życzliwości człowiek, pod przymusem konwojował transporty Polaków na Syberię w lutym 1940 roku. Nie pamiętam szczegółów, ale były to straszne opowieści, bo on po dotarciu do celu wracał. Zmarł na tyfus w kolejnym transporcie.

Z naszego domu wyruszali Polacy na stronę niemiecką, przechodząc przez „zieloną granicę”. Co to za zielona granica w lutym, marcu? Czasami dochodziły wiadomości o zdradach przewodników suto opłacanych przez uciekinierów.

Mama coraz częściej poważnie rozmawia z Ryśkiem i Jasiem o połączeniu się z tatą. Brawo, myślałem, pojedziemy przez zieloną granicę. Nie udało się. 13 kwietnia 1940 roku w nocy budzi nas pukanie do okien i drzwi. Mama wstaje, otwiera i wybucha płaczem. Wstajemy i my, chłopcy. Wciskamy się w kąt sypialni. Wchodzi oficer NKWD z kilkoma żołnierzami. Za oknem cienki bagnet na karabinie. Robią rewizję, przewracają wszystko, nawet kufer, w którym mama przygotowała nasze rzeczy na wypadek wywózki. Mama protestuje. Śmieją się i wysypują wszystko na środek pokoju. Po dłuższym czasie i wyplakaniu przez nas chyba wszystkich łez, oficer staje na środku kuchni, wzywa wszystkich do siebie i odczytuje: „Od tej chwili za 45 minut musicie opuścić dom”. Na mamy pytanie – dokąd mamy się udać – pada odpowiedź: „Będziecie przewiezieni do sąsiedniego województwa”. Przeróżający szloch mamy. Tulimy się do niej, płacemy wszyscy, modlimy się. I nagle – mama śmieje się, zdejmując ze ściany krzyż i ojca portret, kładzie do walizki, dokłada dwie butelki wódki i nadal śmiejąc się oświadcza, że jest spakowana. Na to oficer „proszę się skupić, proszę wziąć jakieś rzeczy”. Mama wzywa swoich rodziców. Oficer pyta gdzie oni są. Przyprawiają dziadka bladego i babcię rozszlochaną. Padamy sobie w ramiona. Oficer pokazuje zegarek. Jakoś opanowujemy się. Odnajduję łyżwy, bo to Sybir, więc śnieg i lód. Biorę, nie wiem dlaczego, garnki. Wkładam jeden w drugi i wiążę

sznurkiem. Rysiek szykuje rower – oficer nie pozwala. Z Jasiem zwijamy dywan – oficer nie pozwala. Dziadek składa maszynę do szycia – też nie pozwala (okazało się, że tego samego dnia wprowadził się do naszego domu).

Czas minął. Wynosimy na ulicę co dozwolone – ja łyżwy i garnki. Zimno, czekamy pod strażą. Dnieje, nie ma siły płakać, już nikt nie płacze tylko słychać jęki. Nadjeżdża ciężarówka z podobnymi nieszczęśnikami. Wrzucają nas do skrzyni. Przy kabynie stoją dwaj żołnierze. Nigdy nie zapomnę twarzy jednego z nich, tego z wąsami. Kiedy mnie wrzucono, ten z wąsami zapłakał i ukradkiem wytarł łzy. Odwracał ode mnie wzrok. Stary, doświadczony żołnierz nie mógł opanować się, nie mógł przeciwstawić się temu okrutnemu złu. Jeszcze wybuch lamentu i ciężarówka ruszyła. Wiozą nas przez miasto do boczny kolejącej. Stoi pociąg towarowy. Poznaje. Kilka dni temu sześliśmy tędy z kolegami i widzieliśmy jak wzdłuż tego właśnie pociągu z pootwieranymi wagonami jechała lokomotywa i wpuszczała do środka gorącą parę. Zajrzeliśmy wówczas do jednego takiego wagonu. W jednym i drugim końcu przy ścianach były półki, a na środku w podłodze dziura. Jasio powiedział wówczas, że to może szykują dla nas. I rzeczywiście – podwożą pod zamknięty wagon, otwierają z hukiem drzwi, a tam już są Polacy. „Was też zabrali”. Wrzucają żołdactwo nasze tobołki. Zajmujemy górną półkę. Co chwilę otwierają drzwi i kogoś dorzucają. Do południa napchali do 15-tonowego wagonu 34 osoby, w tym 2-tygodniowe dziecko. Jest piątek, trzymają nas do niedzieli. Nie pozwalają nikomu zbliżyć się do pociągu. Widzimy wujka Julka Janickiego z bochenkami chleba odpychanego przez żołnierzy. Nie dotarł. Brak wody, brak jedzenia. Około godziny 1-szej rusza pociąg, słychać dzwony w kościele, nieprawdopodobny lament w wagonie z zakratowanym okienkiem.

Strzelają korki z butelek z eterem. Mdleją kobiety. Czuję w powietrzu eter i smród od tej dziury, służącej za ubikację. Po pewnym czasie ucisza się, już chyba wszystkie łzy wylane. Pytania – dokąd nas wiozą? Mamę wywożą drugi raz. Pierwszy raz, też z Kowla w 1914 roku, kiedy miała 12 lat.

Wieczorem w Zdołbunowie zatrzymuje się transport na bocznym peronie. Ktoś otwiera drzwi z okrzykiem „uciekajcie”. Mama wypycha Ryśka, ale on opiera się, zostaje. Potem krzyki, strzały, zamykanie drzwi, liczenie skazańców. Już na Sybirze okazało się, że kilkadziesiąt osób uciekło, więc konwojenci tyle samo osób schwytali na peronie, by zgodził się rachunek. W nocy przenoszenie rzeczy do sowieckiego wagonu. W naszym, polskim wagonie znalazła się rodzina ukraińskich komunistów. W czasie „przenosin” gdzieś się podzieli, może ich cofnięto. Został tylko po nich worek trójkątny z solą. Panie pytają „czyja to sól?”. A my z Jasiem rozwiązaliśmy węzeł, bierzemy sól do ust i okazuje się, że to cukier. Ukryliśmy tę „sól” i to była nasza druga kradzież w życiu. Pierwsza to kradzież garnków ze stosu rzeczy zrabowanych przez sowietów. Ten stos był na polu koło naszego domu i pilnowali tego żołnierz. Ta kradzież była z zemsty, a nie z chęci posiadania. Cukier to z potrzeby. Pożywialiśmy się przez całą drogę. Część daliśmy pani z małym dzieciątkiem. Ona ten cukier rozpuszczała w wodzie, gotowała nad świecą i tym karmiła maleństwo. Wieźli nas trzy tygodnie coraz dalej na wschód, przez Ural, stepy. Marzyłem o wyjściu z pociągu. Po wodę wypuszczali tylko starszych i to raz dziennie, po dwóch. Była kolejka. Jasio był tylko raz i przyniósł wodę z Wołgi, koloru kawy. Była to woda z błotem, ale i tak wypiliśmy.

Stale byliśmy głodni, a tylko co kilka dni dawali jakąś kaszę zabarwioną „atramentem”. Kiedyś nie dali nam jedzenia, bo na ścianie wagonu pod oknem znaleźli resztki kaszy. Wylałem tę kaszę, której mimo głodu nie mogłem zjeść.

Koniec torów – Pawłodar. Wyładujemy się, furmanki wiozą nas na plac ogrodzony „murem” z gliny, jak ze wschodnich baśni. Pierwsze spotkanie z wszami. Po dwóch dniach ładują nas na ciężarówki i wiozą przez step, gdzieś coraz dalej. Jasiu, gdzie my jesteśmy? Wydaje mi się, że w Azji, mówi Jasio, a ci skośnoocy, to chyba Kazachowie w swoich ludowych strojach. Jeżeli tak, to powinno tu być ciepło. Po co brałem łyżwy? Jest jakaś wieś, chaty z gliny, ziemianki, tylko nieliczne domy drewniane, a na nich jakieś szлды.

Wysypujemy się na jakimś dziedzińcu, pilnują nas milicjanci i młodzi ludzie z czerwonymi opaskami – to komsomolcy. Noc pod gołym niebem, strasznie zimno – co to za Kazachstan? Usypiam w jakichś ciuchach. Raptem budzenie. Gdzieś biegniemy. Prowadzi nas jakaś Rosjanka. Uciekamy. Jasiu dokąd uciekamy? Jasio nic nie wie. Mama ucisza. Jakaś chata, w której zatrzymujemy się na nocleg. Nie można usnąć, strach i pluskwy. Rano mama i pani Markowska zasłaniają okna. Mama wychodzi. Rysiek też. Zostajemy tylko z Jasiem. Strach, stale strach, co będzie? Czy mamusia wróci? Jest, wychodzimy na ulicę, przyglądają nam się dziwni ludzie, dziwne dzieciaki, potracają, śmieją się, skubią, coś mówią, czegoś chcą. O co chodzi? Nie rozumiemy ich. Przenosimy nasze rzeczy do chaty życzliwej nam Gorbunowej. Mama mówi, że zostawili nas tu w Kaczyrach dlatego, że mama jest specjalistką – ma świadectwo ukończenia kursu szycia w Kijowie w 1918 roku. Innych, niespecjalistów wywożą wołami dalej w step.

Okazało się, że ta ucieczka odbyła się za namową Rosjanki – zesłanki. Chciała nas uratować przed wywózką do kolchozów w stepie. Tu, w Kaczyrach, wsi powiatowej, leżącej nad Irtyszem miało być łatwiej żyć. Ucieczka była niepotrzebna, bo specjalistów zostawiali tu planowo.

Mama poszła do NKWD, aby zapytać co z nami będzie, jak mamy żyć? Odpowiedź była taka: „Jesteście wolni”. No to wracamy. „O nie, nie wolno opuszczać wsi. Do każdego, kogo spotkamy za wsią będziemy strzelać”. Z czego mamy żyć? „Pracujcie”. Gdzie? „Szukajcie”.

Wychodziłem wieczorem po mamę na przystań, bo jako wykwalifikowana krawcowa latała worki. Potem tłukła kamienie z cerkwi dla umocnienia brzegu Irtysza przy przystani, aż w końcu zatrudniono ją w stołówce jako sprzątaczkę. Jeszcze była czynna stołówka, tylko nie było pieniędzy. Na śmietniku czasami udało się znaleźć nie przerwana kartkę na jakieś jajko, albo udało się ją jakoś podkleić.

Jakie smaczne były te jajka. Raz nawet na taką kartkę dostałem gotowaną rybę. Przed chatą mama gotowała na trójnogu, a opałem było łajno zbierane w stepie przy wsi. Jakież przerażenie ogarnęło mnie kiedyś przy zbieraniu tego łajna (nazwa miejscowa – kiziak), kiedy ukazał mi się w stepie latający wielbłąd. To para wodna unosząca się nad stepem powoduje załamanie światła, w ten sposób fruują wielbłądy, konie, krowy, ludzie.

Za namową Gorbunowej mama wymieniła sukienkę na ziemiankę o wymiarach 3,2 x 3,2 m i w najwyższym punkcie 1,65 m. Do tego pomieszczenia wprowadziła się też jej samotna koleżanka z Polski, przybrana ciotka – Durakową. Było nas tam 5 osób. Spaliśmy na pryzkach zrobionych z kółków i gałęzi. Skąd wzięte? W stepie przecież nie było ani jednego drzewa, ale rosły za Irtyszem. Pożyczoną łódkę od bakańszyka – takiego, który obsługuje wodne znaki drogowe – przepłynęliśmy przez rzekę. Tam narąbaliśmy gałęzi i z nich zrobiliśmy pryzce. W powrotnej drodze przeżyliśmy groźną sytuację. Pierwszy raz płynęliśmy (Rysiek, Jasio i ja) taką dziwną łodzią. Nie bardzo umieliśmy nią kierować, poza tym nigdy nie płynęliśmy po rzece o tak silnym prądzie. Kiedy byliśmy na środku zerwał się wiatr i powstały fale. Zaczęło nami miotać, woda przelewała się przez burtę. Rysiek siedział przy wiosłach, Jasio przy sterze, a ja wylewałem szuflą wodę. Dopłynęliśmy do brzegu, ale chyba ze dwa kilometry dalej z biegiem rzeki. Trzeba było ciągnąć tę łódź pod prąd. Po kilku takich przypadkach opanowaliśmy trudną sztukę pływania po tym kapryśnym i groźnym, ale i błogosławionym Irtyszu. To on dostarczał nam ryb. Łapaliśmy je wędkami, na błyszczki (wymieniłem na błyszczkę zakopiańską kasetkę z Ormianinem – zesłańcem), na pętla z włosia końskiego, na kotwice, węcierzami i zimą spod lodu.

Rysiek był furmanem, Jasio też. Mama tłukła kamienie, sprzątała i szła cichcem (nie było wolno), przerabiała miejscowym jakieś bluzeczki, sukieneczki. Szyla ręcznie. Pani Durakowa przedła zebraną na stepie wełnę owczą i wielbłądzia, ja zbierałem kiziak, wełnę, łowiłem ryby, pomagałem ciocie Durakowej w ziemiance. Mama, znająca rosyjski, wymieniła trochę rzeczy na pszenicę. Ustalono było, że aby przeżyć trzeba oszczędzać jedzenie. Posiłki spożywamy więc raz albo najwyżej dwa razy dziennie. Podział jedzenia równy. Mama często udawała, że nie jest już głodna i część swojej porcji oddawała nam. Podstawową potrawą była mamałyga – taki kleik z pszennej mąki i placki – podplomyki.

Łapiemy w Irtyszu ryby, zbieramy na łące nad Irtyszem trawy jadalne. To miejscowi zesłańcy uczą nas odróżniać jadalną od szkodliwej. Zaczynamy zyskiwać sympatię wśród Kazachów i potomków zesłańców. Władza przy najmniejszej okazji daje nam odczuć kim jesteśmy – „wrogowie ustroju i władzy radzieckiej, kapitaliści, panowie”.

Mam kolegę Szurę Mironowa i Pietkę. Oni uczą zdobywania jedzenia i tego, co do życia potrzebne. Zaczynam opanowywać podstawowe umiejętności – kradzenie. Kradniemy ryby, kłosa, deski na drzwi do ziemianki, z pola kolchozu zabieramy błotnik od samochodu milicyjnego, z którego robimy z Jasiem przyrząd do mielenia pszenicy i do robienia kaszy z jęczmienia. Łapiemy na pożyczone od Pietki potrzaski (kapkany) susły, tuszkańczyki. Potrzebne są skórki, no i mięso.

W październiku raptownie nastąpiła zima, mróz, zawieje i zamiecie. Mama, Rysiek i Jasio chodzą do pracy, a ja z ciotką Durakową siedzę w ziemiance. Brak odpowiednich ubrań. Mama niesłychanie operatywna, umawia się z panią Szablowską, żoną sędziego wojskowego, która ma czterech synów, że uszyje im z futra (łapki karakułowe) cztery czapki, a za to dwie czapki dla Ryśka i Jasia. Za jakieś rzeczy dostaje mama walonki dla chłopców. Za ręcznik otrzymuje od Kazacha skórkę z białego zająca, z której szyje czapkę dla mnie. Mogę od czasu do czasu wyjść z ziemianki. Kiedyś włożyłem łyżwy, by zjeżdżać z zasp. Fajnie się jeździło. Zaspy usypane z drobnutkiego śniegu były twarde, ale mróz był tak duży, że po kilkunastu minutach odmroziłem duże palce u nóg. łyżwy poszły za kartofle. Nie pamiętam, abym tego żałował.

Z tym śniegiem bywały dramatyczne przygody. Kiedyś budzę się wyspany, a tu ciemno. Staram się zasnąć, nie mogę. Już jeść się chce, a tu ciemno. Budzi się mama, wszyscy się budzimy i zastanawiamy dlaczego ciemno. Otwiera mama drzwi (do środka), a tu ściana śniegu. Przekłówa ten śnieg kołkiem, a tam świeci słońce. W nocy zasypało nam zupełnie ziemiankę, razem z maleńkim okienkiem. Innym razem chłopcy wzięli mnie, dla rozruszania, ze sobą do Polaków. Po wyjściu z ziemianki wichura Dosłownie zdmuchnęła mnie z zasy i natychmiast zostałem zasypany śniegiem. Przerażeni chłopcy szukają, krzyczą, ale huk wichury zagłusza. Natknęli się na mnie po kilku minutach. Pod śniegiem było mi ciepło, ale okutany jakimś szalem nie mogłem się wygrzebać z tego śniegu.

Do obowiązku furmanów należało przywożenie wody z Irtysza, drewna z za rzeki, obsługa koni. Kiedyś Rysiek wrócił wieczorem, jak się mówiło z Irtysza, z białą zupełnie twarzą – odmrożenie.

Nacieranie śniegiem niewiele pomogło. Pękł nos, ropienie. Do dziś ma ślad. Mnie to samo spotkało później. Ropiał nos, policzki, czoło, uszy. Odmrożone stopy, ręce, ale to w późniejszych latach, kiedy już pracowałem.

Pierwszą zimę trudno było przeżyć. Umierały dzieci i starcy. Święta Bożego Narodzenia. Wigilia – po oplakaniu swoich i swojego położenia, modlitwa, opłatek przysłany w paczce od rodziny razem z żywnością. Otrzymywaliśmy z Kowla sporo paczek i one łagodziły trudności. Paczki przychodziły aż do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Opłatka wystarczyło nam, przy dzieleniu się okruszkami, do ostatniej Wigilii 1945 roku. Gorzej było z „potrawami”. Były Wigilie z jedną małą, suszoną rybką i kawałkiem lepioszki.

Modliliśmy się, dużo modliliśmy się wspólnie w naszej ziemiance, a w niedzielę zbieraliśmy się w dużej ziemiance pani Markowskiej. Ona odprawiała msze z liturgicznymi tekstami i nawet komunią duchową. Czasami ktoś wygłosił kazanie. Oczywiście modlitwy były skrywane przed miejscowymi. Przekonaliśmy się o konieczności skrywania wiary w czasie pierwszego pogrzebu ojca pani Kocielskiej. Drwili, wyśmiewali się, szturchali kiedy odmawialiśmy pacierze przy trumnie stojącej na dworze.

Na Wielkanoc dosłownie wybuchła wiosna. Powiał w dzień ciepły wiatr, śnieg zaczął topnieć, woda wlewała się do ziemianki – musieliśmy robić tamy. Irtysz rusza, na stepie pojawiają się połacie ciemnej ziemi. Idziemy w step i widzimy na miejscach oranych mnóstwo kłosów zboża. Zbieramy je, a tu nadjeżdżają konno sowioci z batami, zabierają worki, wiadra do których zbieraliśmy kłosy i przepędzają nas. Wezwani do NKWD Polacy otrzymują zakaz wychodzenia w pole po kłosy. „W Związku Radzieckim nigdy nie było, nie ma i nie będzie głodu. Trzeba pracować, dobrze i dużo pracować, zarobić pieniądze i kupować”. Tak, ale gdzie kupować? Nikt nie sprzedawał żywności za pieniądze. Chodziliśmy więc z innymi zesłańcami – chłopakami na kłosy w nocy. Po stopnieniu lodów poziom wody w Irtyszu zwiększa się o kilka metrów, wskutek czego zalewana jest cała jego pradolina. Szerokość tej rzeki w okolicach Kaczyr sięga kilku kilometrów. W tym czasie step zazielenia się, zakwitają kwiaty podobne do tulipanów, w różnych kolorach, kwitną niziutkie krzewy nazywane tam tawałoszką. Jest kolorowo, pachnąco i śpiewają skowronki, tylko nie ma co jeść. Wkrótce wody zaczną spływać do koryta rzeki, step wyschnie, a na wyższych miejscach łąk i w dziuplach drzew rosnących za Irtyszem kaczkę złożą jaja. Dopływamy, poinstruowani przez tubylców, do tych miejsc. Biegniemy taką łąką z krzykiem, kaczkę zrywają się z gniazd, a my wybieramy jaja. Taka zdobycz zadawała mnie nie tylko dlatego, że będzie co jeść, ale przede wszystkim dlatego, że staję się współżywciolem rodziny. Każda zdobycz wzbudzała takie poczucie wartości. Chodziłem na noc z tubylcami łowić ryby, bo panowało tam prawo zabraniające łowienia ryb osobom prywatnym. Tereny wodne należały do rybkolchozu i tylko sowioci należący do niego mogli łowić. Którejś nocy nic nie złapałem, a przecież rano rodzina powinna była przed pracą coś zjeść. Przechodziłem koło szałas rybkolchozu, gdzie słychać było chrapanie kolchoźników. Obok szałas stał kosz. Uchyliłem worek, którym był przykryty ten kosz, a tam szczupaki. Ukradłem kilka z nich. Tym razem nie przyznałem się mamie do kradzieży. Ciężar winy, bo taka mimo wszystko była, bywał różny. Uznałem, że kradzież pożywienia jest tak wielkim grzechem, że nie należy obciążać nim mamy. Przyznałem się do tego dopiero w kraju.

Innym razem, przed świtem szliśmy z Pietką nad Irtyszem, aby gdzieś dalej w ukryciu łapać ryby. Kiedy zrobiła się szarówka zauważyliśmy stado hałasujących rybitw. Poszliśmy w to miejsce. Oczom naszym ukazała się sieć rybkolchozu zastawiona w strumieniu spływających wód z łąk do Irtysza, a w sieci niemal w każdym oczku płoć. Bez wahania nago wskoczyliśmy do lodowatej wody i zachłannie zaczęliśmy wrywać ryby. Wracaliśmy okrężną drogą do wsi, dumni, każdy z pełnym wiadrem. Część ryb suszyliśmy albo soliliśmy na zimę. Czasami udało się złapać własnoręcznie jesiotra (krasna) – był to wielki przysmak.

NKWD zmuszała Polaków do tego, aby dzieci chodziły do szkoły, albo pracowały. Zachętą do nauki był dawany w szkole jeden posiłek dziennie. Mimo to z grona Polaków tylko troje poszło. Po roku, kiedy okazało się, że indoktrynacja szybko działa, dwoje dzieci matki wycofały. Jeden chłopak chodził nadal, dostawał zapomogi, ubrania, skończył tam średnią szkołę (10-latkę), wstąpił do komsomołu. W dniu wyjazdu, w 1946 roku, przy pożegnaniu jeden z enkawudzistów szepnął, że ten chłopak współdziałał z nimi. Było i tak.

Mnie mama uchroniła przed szkołą, ale musiałem pracować. W czerwcu 1941 roku zostałem pastuchem gęsi i kaczek. Było to utrapienie – nie chciały być ze sobą, stale rozchodziły się w różne strony. Po jakimś czasie kaczki wybito i zostały mi tylko gęsi. Szkoda mi było tych gęsi chodzących po suchym stepie. Popędziłem je do Irtysza, żeby się napiły wody, a one niewdzięczne chluzły do rzeki i na drugi brzeg. Z płaczem pobiegłem do braci koszących za wsią trawę. Ci pożyczili od bakańszczyka łódkę i po kilku godzinach udało się doprowadzić wszystkie, zadowolone gęsi do zagrody. Kiedy i je wybito zostałem skierowany do pracy przy sianokosach. Konno ściągałem kopki siana, grabiłem siano grabiarką zaprzęzoną w wielbłąda, tego dwugarbnego. Miałem trudności przy włączaniu sprzęgła, nie sięgałem do niego nogą, byłem za mały i nie miałem tyle siły, ale jakoś sobie radziłem. Tylko wieczorem miałem zbolałą piętę (bosą). Nazajutrz było lepiej, a po kilku dniach pięta uodporniła się. Dawali na

tych sianokosach dobrze jeść. Na obiad zawsze była taka oto zupa: do gotującego się mleka Kazaszka wrzucała soloną baraninę, czasami z robakami, a kiedy mięso było ugotowane wrzucała do tego nie pocięte placki z ciasta. Ponieważ w brygadzie byłem najmłodszy, dostawałem takiej mięsnej zupy na mleku tyle ile mogłem zjeść. Za to musiałem rano do opadnięcia rosy pomagać w kuchni – oczyszczałem mięso z robaków. Jak jakiś Kazach znalazł w swojej zupie robaka to dostawałem manto (grozili na niby). Nie wiem dlaczego lubili mnie tam, nazywając „poliaczok”.

W czerwcu, w słoneczny dzień, idziemy z braćmi od Irtysza, a w naszym kierunku pędzi jakiś miejscowy chłopak na koniu z okrzykiem: „wojna, z germańcami wojna!”. Drze się, ale z radością. Jest wojna, zaświtała więc nadzieja na powrót. Naszą nadzieję podtrzymuje większość starszych tubylców. Oni też czekają na zakończenie gnębienia narodu przez komunistów. Mobilizacja. Przychodzi sąsiad, kołchoźnik, pożegnać się i mówi, że przy najbliższej okazji pójdzie do niewoli, że on pamięta czasy carskie i nie może znieść tego poniżenia i nędzy. Jego pierwsza żona i dzieci zmarły z głodu.

Mama zaczyna wróżyć. Trzeba jakoś zdobywać żywność. Paczki od rodziny już nie nadchodzą, bo Kowel zajęty przez Niemców. W nocy przychodzą do nas ludzie po nadzieję we wróżbie, czy mąż, syn, ojciec wrócą z frontu. Mama jeszcze przed wojną bawiła się w to dla rozrywki. Nauczyła się tego w Kijowie i uważała, że karty mówią prawdę. Kiedyś w nocy przyszedł nawet, ku naszemu przerażeniu, enkawudzista z kilkoma cebulami, z prośbą o powróżenie. Dostał skierowanie na front.

Przed jesienią, któregoś późnego wieczora z „kołchoźnika” – głośnika radiowego (w każdej chacie czy ziemiance musiał być taki głośnik) popłynął Mazurek Dąbrowskiego. Myśleliśmy, że śnimy, ale po nim przemówił generał Sikorski – amnestia, jesteśmy wolni. Wybiegliśmy na dwór z krzykiem „swoboda”. Inni Polacy też krzyczą. Nie rozumiałem, co to znaczy. Po jakimś czasie zaczęli przyjeżdżać wypuszczeni z obozów nasi policjanci i żołnierze. Przybywali do swoich rodzin. Wyglądali przerażająco. Pan Kucharski prawie niewidomy – oślepił go w czasie tortur. Inni z pokrzywionymi palcami. Jesienią, ci którzy przybyli z obozów i starsi chłopcy, poszli do wojska Sikorskiego. Nie było to takie proste. Miejscowa władza stawiała przeszkody. W naszej ziemiance toczyły się rozmowy przeplatane łkaniem. Co robić? Czy Rysiek ma iść do wojska, chociaż jest za młody? Dopisał sobie jednak rok i poszedł. Przez kilka miesięcy dostawaliśmy od niego listy z różnych miejsc Rosji. Szukał polskiego wojska, aż przyszedł list od jakiegoś pana z informacją, że wojsko jedzie do Iraku, a Rysiek w stanie agonijnym chyba zostaje. Rozpacz.

Czas upływał, a dzieciaki cofały się w rozwoju umysłowym. Do rosyjskiej szkoły w dalszym ciągu nie chodziliśmy. Po ogłoszeniu amnestii dzielna pani Edmunda Załuska, matka późniejszego pułkownika i pisarza Zbigniewa Załuskiego, wymusiła na NKWD zgodę na założenie czegoś w rodzaju szkoły dla polskich dzieci. Zbierała nas w różnym wieku chyba co drugi dzień w dużej sieni jakiejś chaty. Dostawaliśmy po misce zacierek (niezapomniany smak) i tam pani Weronika Świrniak uczyła nas polskiego, rachunków i rosyjskiego. Czuliśmy, że chodzi o dożywanie i język polski, w którym były też przemycane wiadomości z historii w formie opowiadań. Ja przyjeżdżałem ze stepu na koniu na te lekcje, uczyłem się w stepie też na koniu – pracowałem jako „koniuch” (fornal). Jadąc na karym nauczyłem się wiersza „A jak poszedł król na wojnę...”. Tekst był dyktowany przez nauczycielkę z pamięci, a myśmy ten tekst pisali ołówkami między linijkami jakichś broszur politycznych. Nie było czystego papieru.

Pani Załuska chodziła w czarnej spódnicy, białej bluzce i czarnym berecie z orłem. Gdy było zimno wkładała za duży mundur swojego męża, leśniczego. Była ona przewodniczącą jakiejś organizacji łączącej Polaków, spełniającej też rolę sądu koleżeńskiego. Kiedyś coś narozrabiałem, powiedziałem, że jeden z kolegów nie jest rodzonym synem swojej mamy, to moja mama zmuszona była przez tę organizację do przeproszenia za mnie jego mamy.

Raptem w nocy NKWD zamyka panie Załuską, Markowską i Świrniak. Okazało się, że znów jesteśmy wrogami władzy radzieckiej, a Sikorski zdrajcą. Zaczęły się restrykcje. Po dwóch tygodniach dochodzi do nas wiadomość, że pani Załuska została zamordowana w Pawłodarskim NKWD. Zbyszek zostaje sam (był tylko z matką), więc przyjmujemy go do naszej brygady. Pracujemy w grupie: Marian Barański, Jasio (mój brat), który był też sanitariuszem weterynarii, Zbyszek i ja. Zbyszka pani Załuska jakimś cudem uchroniła przed pracą i szkołą. Był to typ intelektualisty, nie mógł się nauczyć piłować i rąbać drwa. Miał trudności z jazdą konną. Mimo, że był ubrany tak jak my, marzył. Kiedy Związek Patriotów Polskich ogłosił mobilizację do armii Kościuszki, Zbyszek zgłosił się na ochotnika. Ochotnicy mogli być młodszy od poborowych. Zdecydował się na to dlatego, że nie widział możliwości przeżycia na Sybirze, a za rok i tak zostałby zmobilizowany.

Mamie otworzyła się gruźlica zaleczona przed wojną. Jedyne lekarstwo to aloes. Dobrotliwe miejscowe baby dawały go mamie za wróżenie lub uszycie czegoś. Jadła biedna tę gorycz, zapijając wodą z Irtysza. I cud – po kilku miesiącach wróciło zdrowie.

Zaczynają zmuszać Polaków do przyjmowania obywatelstwa sowieckiego. Polacy odmawiają. Wtrącają ich do więzienia, torturują. Już siedzi tam ciotka Durakowa, siedzi Jasio, wezwali mamę. Jestem sam w ziemiance. Przed nocą mama wraca. Wypuścili ją, żeby się zastanowiła. Kłeka, modli się. Co robić? Za odmowę przyjęcia sowieckiego dowodu grozi kara 2 lat zamkniętego obozu. Modlimy się

razem. Mama pyta mnie – „dzieciaku co robić?”. Pamiętam dokładnie, że powiedziałem: „co Bóg stawia wyżej, ojczyznę czy dziecko?”. Następnego dnia wrócił Jasio i ciotka – z dowodami, przygnębieni. Mama też odebrała dowód. Kilka osób zamknęli, a dzieci jednej aresztowanej Polki wzięli do rosyjskiej ochronki. Po dwóch latach wróciła, ale nie mogła odnaleźć dzieci.

Działający oficjalnie Związek Patriotów Polskich ułatwiał organizowanie się nam. Dla podtrzymania ducha pani Rachfałowa założyła zespół teatralno-taneczny. Wystawiliśmy jakąś sztukę, a role były podyktowane z pamięci przez założycielkę zespołu. Tańczyliśmy też krakowiaka w dziwnych strojach – na głowach czapki „kubanki”, białe fartuchy pożyczone ze szpitala, dziewczyny miały spódnice uszyte z chustek i korale z owoców dzikiej róży. Została też zorganizowana pracownia krawiecka z wypożyczonymi od Sowietów maszynami do szycia. Mama tam szyla za 3,7 kilograma pszenicy i 150 rubli miesięcznie. Jasio został felcerem weterynarii (też 3,7 kilograma pszenicy i 120 rubli). Ciotka Durakowa przędła w domu (3 kilograma pszenicy i 120 rubli), ja byłem nadal koniuchem wykwalifikowanym (2,5 kilograma pszenicy i 100 rubli). Przydział tej pszenicy nazywał się „pajok”.

Praca przy koniach ułatwiała organizowanie pożywienia. Z rosyjskim Niemcem (zesłańcem) robiliśmy tak: w dzień jeździłem konno za Irtysz (zimą) na teren sąsiedniego kolchozu, gdzie wyszukiwałem stogi siana. W nocy jechaliśmy tam saniami zaprzężonymi w dwa konie, kradliśmy siano, a nad ranem zwałaliśmy je w stajni spółdzielni, za co dawano nam tabliczkę prasowanej herbaty. Tabliczkę cięliśmy na pół i za to dostawałem u Kazaszki bryłkę masła. Ta procedura trwała połowę zimy. Przewodniczący spółdzielni wiedział, że siano jest kradzione.

Pewnego razu sam ukradłem siano z przekonaniem, że to kolchozowe i sprzedałem polskiemu Żydowi, krawcowi. Ten doniósł milicji. Kupił, a potem doniósł. Straszne rzeczy się działy, bo okazało się, że to siano było tubylca, tzw. jedynolicznika (chłop gospodarujący na własnym, nie w kolchozie). Miałem szczęście, że to jedynolicznik. To była skomplikowana moralność. Kradzież kolchozowego, albo państwowego w naszym i tubylców rozumieniu nie była grzechem. W rozumieniu milicji czy NKWD przewinieniem było przywłaszczenie społecznego, albo państwowego.

Otrzymaliśmy trzy czy cztery paczki żywnościowe z Palestyny. Skąd mają adres? Dlaczego my? Po wojnie okazało się, że służba kwatermistrzowska armii Andersa przekazała Żydom adresy Sybiraków. Nadawcą był Żyd z Tel Awiwu. Bóg mu zapłać.

Było kilka przygód z wilkami, z mrozem, z ludźmi. Z Marianem Barańskim i Jasiem w nocy łujemy nad Irtyszem siano na sanie, a tu wokół rozpoczęły swe muzykowanie wilki. Noc była księżycowa, więc widać jak się zbliżają i otaczają. Konie parszają. Naładowaliśmy nie wszystko, wdrapaliśmy się na siano i w drogę. Wilki za nami. Kręciliśmy się w sianie, więc spadł kłęb siana na drogę. Wilki zatrzymały się, wolno podeszły do niego, obwąchały i znowu za nami. Rzucaliśmy co jakiś czas kukły zrobione z siana i tak szczęśliwie dojechaliśmy.

Z Jasiem, też w nocy, wieźliśmy siano. Ja jadę na pierwszych saniach, on na drugich. Zagrzebałem się w siano, podśpiewuję, patrzę na gwiazdy, a woły wolno ciągną. Robi się coraz cieplej. Wydaje mi się, że leżę w ziemiance na ziemi posłanej sianem, przede mną otwarte drzwiczki pieca, a obok mama. Jest mi tak dobrze... I nagle ból w nogach, krzyk, okładanie biczem. Moje woły zatrzymały się przed wzniesieniem. Jasio wołał na mnie, ale nie odpowiadałem. Wdrapał się na siano, tarł mnie – nie odpowiadałem. Zrzucił mnie z siana i z rozpaczy chciał mnie budzić biczem. Ja po prostu zamarzałem. Mróz wówczas był –56 stopni. We wsi był jeden termometr w lecznicy weterynaryjnej – tu pracowaliśmy. Na własnej skórze poznałem co to jest umieranie przez zamarzanie. Tubylcy prawdę mówili, że jedyną zaletą mrozu jest to, że przynosi piękną śmierć. Ludzie zamarznięci mają na twarzy uśmiech. Tubylcy mieli specyficzny pogląd na życie. Ich częstymi słowami pociechy dla nas, na początku naszego sybirowania, było: „Prywykniesz, nie przywykniesz zdochniesz, niczego nie podiełajesz, Sybir matuszka”.

Zupełnie inne jest umieranie z głodu. Zimą natknęliśmy się na człowieka umierającego z głodu. Jego oblicze wyrażało niesłychane cierpienie. Widzę tę twarz wyraźnie do dziś. A był to znany nam od pierwszego roku sybirowania, wówczas dobrze zbudowany, w sile wieku mężczyzna, ukraiński komunista zesłany na Sybir. W pierwszym roku spędzili nas na plac 1 Maja i właśnie on z trybuny rozpoczął przemówienie od słów: „Ja, pierwszy komunista z Kijowa...”, dalej były pochwały dla komunizmu. Zmarł na naszych rękach.

Do moich obowiązków należało też wożenie pszenicy, tej przydziałowej, do młyna w Pieszczanach (15 kilometrów od Kaczyr). Jeździło się w nocy dla bezpieczeństwa. Po rozpoczęciu wojny na Sybir przywieźli z Kaukazu Czeceńców, Inguszków i Niemców nadwołżańskich. Zabrali ich bez dobytku, nie mieli za co wymieniać żywności, nie mieli ciepłej odzieży. Wymierali w strasznym tempie. Napadali, kradli, a nawet zabijali dla zdobycia żywności. Wiozę kiedyś zimą w nocy mąkę z Pieszczan. Jeszcze na terenie wsi Czeceńcy spostrzegli mnie i worki na saniach. Skradali się między ziemiankami. Na szczęście miałem dobrego i wypoczętego konia – uciekłem za wieś. Tu, ze strachu przed wilkami, nikt, zwłaszcza w nocy nie zapuszczał się w step. Ja jednak jakoś nie bałem się wilków.

Czeceńcy, Ingusze i Niemcy, a także tubylcy, zimą wynosili ciała zmarłych w step. Zagrzebywali je w śniegu i zostawiali na pastwę wilków, lisów i szakali. Grzebaniem Polaków zajmowałem się ja

z Jasiem i Marianem. Kopaliśmy w stepie dół z podkopem i w tym podkopie układaliśmy nieboszczyka zawiniętego w jakiś materiał (nie było desek na trumny). Zimą, kiedy ziemia była zamrznięta na dużej głębokości, kopanie nie było łatwe, używaliśmy więc wtedy łomów.

Mieliśmy krowę. Przed drugą zimą mama i ciotka Durakowa, korzystając z wolności, zapakowały do worków buty pana Duraka (więziony w Ostaszkwie), sznyel, spodnie, sukienki i poszły, i pojechały do dalekich wiosek, żeby wymienić to na żywność. Po trzech dniach przyprowadziły krowę i przyniosły sporo pszenicy. Krowa zamieszkała w ziemiance za naszymi drzwiami. Kołchoz pozwolił nam wykosić trawę, tam gdzie pozostanie po sianokosach. Były to zwykłe mokradła. Kosilem tam trawę i w ten sposób zwierzę miało siano na zimę, bo latem pasło się w stepie. Piękna to była krowa – Mania, czerwona. Dzięki niej i zaradności mamy przetrwaliśmy. Ta biedna krowina też na siebie pracowała. Z Jasiem zmajstrowaliśmy furkę na kradzionych kołach. Zaprzężona do furki krowa zwoziła siano sama. Nie wolno było korzystać z państwowych koni do celów prywatnych. Mama nie mogła nauczyć się doić krowy. Doiła ciotka Durakowa.

Po zakończeniu wojny Związek Patriotów Polskich zapowiedział powrót do Polski. Mieliśmy wracać statkiem w sierpniu 1945 roku. Kiedy mama sprzedawała ziemiankę (za 500 rubli) i krowę (za 1500 rubli), okazało się, że zostajemy. Zamieszkaliśmy przy stajni, gdzie pracowałem. Miałem 15 lat, byłem furmanem u naczelnika rejonowego urzędu ziemskiego (Rajzo). Byłem też wtórnym analfabetą. Znalazły się wtedy bohaterskie nauczycielki: Pankowa i Rafałowa, które uzyskały zgodę na uczenie nas, biedaków. Chodziliśmy po pracy do pomieszczenia rosyjskiej szkoły, gdzie te dwie panie usiłowały przywrócić nas cywilizowanemu światu. Dostałem zaświadczenie o ukończeniu IV klasy polskiej szkoły przy rosyjskiej dziesięciolatce. Szesnaście lat i czwarta klasa! Zaświadczenie zresztą zostało wydane na wyrost. Po powrocie, kiedy za namową ojca zacząłem się uczyć indywidualnie pod kierunkiem nauczyciela, w pierwszym sprawdzającym dyktandzie nie było słowa bez błędu, a w jednym słowie zrobiłem cztery błędy ortograficzne.

Wiosną 1945 roku z Jasiem i Marianem oraliśmy w stepie pod sadzenie kartofli. Żywiliśmy się gawronami i kaszą jaglaną. Obok orali milicjanci pod swoje kartofle. Którejś niedzieli przyjechali z rodzinami i posadzili te kartofle. Ja upolowałem gawrona, ale kasza się skończyła. Co by tu zjeść? Kiedy zrobiło się ciemno krzyknąłem – gotujcie gawrona, a ja coś przyniosę. Poszedłem na pole milicyjne i wykopałem chyba z połowę wiadra dopiero co posadzonych kartofli. Najedliśmy się, ale była to najohydniejsza kradzież.

Nie zapomnę popełnianych okrucieństw. Złapane w potrzaski zwierzęta trzeba było zabijać kijem. Aby uchronić ręce przed odmrożeniem, trzeba było mieć rękawice uszyte z psiego futra (machnaszki). Łapaliśmy psy i wieszaliśmy. Pies nie mógł być zabity, tylko powieszony – nie wiem dlaczego.

Ostatnią zimą było najtrudniej przetrwać. Tam wolność, a tu w dalszym ciągu zesłanie. Pewnej nocy pukanie do drzwi. Otwiera Jasio. Wchodzi straszny człowiek w ubraniu z renifera. Prosi o nocleg. Był zwyczaj przyjmowania na noc każdego, kto o to poprosi i myśmy też z niego czasem korzystali. Był to Rosjanin – zbieg z obozu. Uodpornieni byliśmy na okrucieństwa, ale jego opowieści o tym, co się dzieje w obozach przyprawiały o mdłości. Szczególnie poruszyły nas opowieści o kanibalizmie.

Nadeszła wiosna 1946 roku, a z nią wiadomość, tym razem prawdziwa – wracamy. Trzeciego maja przypłynął statek „8 fiewral”. Załadowaliśmy się z jednym kuferkiem. I znów drgnięcie pokładu przy odbijaniu od brzegu wywołało płacz. Był to płacz radości. Wracamy żywi, tylko nic nie wiadomo o Ryśku i ojcu.

Po miesiącu dowieziono nas do Trzebiatowa. Jasio w drodze chorował. Do Trzebiatowa dojechalimy tylko z mamą, bo chory brat został w Białogardzie u przypadkowo spotkanych na peronie państwa Orzełowskich. Tata odnalazł się w Wąwolnicy, a Rysiek w Anglii. Pod okupacją niemiecką ojciec działał w konspiracji w Górach Świętokrzyskich, a następnie w 27 Wołyńskiej Dywizji AK pod pseudonimem „Paweł”. Rysiek, chory, z wieloma ranami na ciele, uciekł pierwszym statkiem do Iranu. Ukończył podchorążówkę i jako oficer dzielił los armii polskiej na Zachodzie do końca wojny.

Przyszedł jakiś pan z propozycją pracy przy ładowaniu pszenicy w worki. Poszedłem. Ładowałem. Za cały dzień pracy dostałem duży bochenek białego chleba. Od sześciu lat pierwszy taki chleb! W drodze do wagonu trochę go oskubałem. Przynoszę resztę mamie, cieszy się, a ja dumny podnoszę koszulę i pokazuję ukradziony worek. Mama zbladła. Spokojnie wytłumaczyła mi, że to już Polska, ojczyzna, tu będziemy jedli za zarobione, tu nie trzeba kraść. Poszedłem do kościoła i ślubowałem, że już nigdy więcej.

W Trzebiatowie proponowano zajęcie jakiegoś ponemieckiego domu. Weszliśmy z mamą do jednego. Meble, ubrania, pościel, garnki, talerze – nie zdążyli umyć. Odrzuciło nas. Nie możemy postąpić tak, jak zrobiono z nami. Wracamy do Centralnej Polski.